Nr. 681. Lwów — 1895 r. Wydawnictwa Rok XVIII.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich).

Czasopismo illustrowane.

Numer pojedynczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 8. i 23. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 1. i 15., oraz osobne powieściowe **Dodatki.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **dodatkami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki*. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce półrocznie 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce południ,. w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków – stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych,* lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



August Korczak Gorayski,
Poseł na Sejm, Członek Izby Panów.
(Patrz artykuł pod tym samym tytułem).

Od Wydawnictwa.

Razem z następnym numerem rozesłać się będzie premja: wielka rycina przedstawiająca **wszystkich hetmanów polskich** *aż do Kościuszki — ale tylko tym prenumeratorom, którzy mają uregulowane rachunki prenumeracyjne, to jest, którzy nie zalegają w prenumeracie. Prosimy zatem, o jak najrychlejsze odesłanie zalegającej i bieżącej prenumeraty, nietylko dla uniknienia nieporozumień, lecz i z tego powodu że wszelkie zaległości pieniężne są uciążliwe dla adminitsracji i szkodę przynoszą wydawnictwu.*

Od dzisiejszego numeru, który rozpoczyna **ośmnasty rok** naszego wydawnictwa, dajemy numer porządkowy licząc od pojawienia się pierwszego numeru naszego wydawnictwa, co miało miejsce w lutym 1878 roku. — Razem, tedy, z *Wesołym Kurjerkiem*, który poczęliśmy dodawać od 1., lipca z. r. — wydaliśmy do obecnej chwili numerów: 716.

KRONIKA
prostego człowieka
o krzywych ludziach.

I.

Gdym przeczytał w jednym z ostatnich numerów „*Wesołego Kurjerka*“ „Przypowieść o teatrze lwowskim“. uderzyła mnie pewna niesprawiedliwość. z jaką traktuje się ludzi za to, że wleźli tam, gdzie są niepotrzebni. Proszę państwa. każdy człowiek idzie po świecie i szuka sobie najlepszego miejsca. a na miljon. jeden nie pomyśli. czy on na tem miejscu jest pożytecznym. czy nie — ale rzecz w tem. że są pewne miejsca, na które nie każdego wpuszczać należy. Jakże się można dziwić panu Schmittowi, że chciał być dyrektorem lwowskiego teatru? Ciekawy jestem. ilu ze wszystkich kandydatów notarjalnych i „koncepistów“ adwokackich w całej Galicji nie chciałoby nim być? Pan Schmitt był dyrektorem. dlatego, że tylko mógł nim być w Galicji, gdzie przeciętny „inteligent“, może być wszystkiem i dlatego prawie każdy. gdy się dochrapie do czegoś. jest niczem, U nas. są pewne publiczne stanowiska. na które wleźć każdy „galicjanin“ czuje się uprawnionym — Każdy, co mniej więcej ukończył cztery klasy normalne i potem jest dyjurnistą. lub socjalistą, czuje się powołanym do zajęcia stanowiska redaktora, dyrektora, a już, co najmniej, recenzenia teatralnego,.. I prawdę powiedziawszy, nie zawsza ich aspiracje, są zamkami na lodzie... Proszę się rozejrzeć w tem, co było i w tem, co jest, ilu tu na tym publicznym galicyjskim torze przewinęło się ludzi, którzy na zajętych stanowiskach wyglądali, jak pies na płocie?.. Takie to są już u nas stosunki chodzące na dwóch nogach, które wydeptują sobie ścieżki publicznego żywota.

Napoleon powiedział, że każdy żołnierz nosi w tornistrze szlify jeneralskie — ale ten żołnierz od świtu do nocy spoglądał śmierci w oczy, brał się z nią za bary — a w takich szkołach godzina więcej uczy, aniżeli całe lata filisterskich rozmyślań. — U nas nie potrzeba tornistra na plecach, tylko samych pleców, nie potrzeba odwagi, tylko bezczelności. nie nauki, lecz nadymania się. nie prawdziwego talentu, ale talentu ślizgania się. a zajedziesz tam gdzie chcesz i nawet gdzie nie chcesz...

W zwykłych warunkach, w społeczeństwie dobrze zorganizowanem, taki p. Schmitt rozpocząwszy karjerę biurową w Wydziale krajowym, dojechałby może do rewidenta doznawszy w spokojnem życiu, co najwięcej, pewnych perturbacyj żołądkowych, które są udziałem prawie każdego porządnego i lojalnego urzędnika — ale, nie ma kraju, w którymby rozpanoszyło się łakomstwo publicznych zaszczytów i pożądanie tłustych synekur, jak w tej naszej „ściślejszej ojczyźnie“... To obżarstwo

jednostek, bokiem wyłazi społeczeństwu i jego rzetelne interesa dławi, morduje, krępuje, fałszuje — ale się jedzie... Jak się jedzie, mniejsza o to!... Nie smaruje się. nawet — najczęściej, skrzypi — aż uszy więdną — ale się jedzie!... Daleko i dokąd?... Daleko?... — na koniec własnego nosa — dokąd?... do nepotyzmu...

I jeszcze szczęście, gdy się tak kończy, jak z dyrektorstwem Schmitta. No, ten. przynajmniej, nie wyniósł „przyjemnych wspomnień", jak Battenberg z Bułgarji, bo wątpię, czy od czasu wynalazku strojenia fortepjanów i przyłączenia tej części Polski do Austrji, był kto tak zwymyślany publicznie. jak pan Schmitt. Za to, co złego zrobił, dostał przynajmniej, jak to powiadają, lanie — ale, ilu jest u nas takich, co bezkarnie na stanowiskach żyją, tyją, blagują, wegetują, próżnują, deklamują, strzygą oślemi uszami i kpią sobie po cichu, a nie raz i głośno ze wszystkiego, co uczciwych ludzi boli, podnosi, a krew do serca i do mózgu wyrzuca!...

Takich jest za wielu, aby stanowili wyjątek, a za mało, aby zwątpić, że przecież lepiej będzie i prędzej, czy później, djabeł zabierze swoje...

Jak to jest pięknie w tem naszem kochanem patrjotycznem miasteczku — to między innemi i obchód 100. letniej rocznicy otwarcia teatru we Lwowie może dokumentnie zaświadczyć. Raut, niby „na cześć" Bogusławskiego, był zlepkiem i wytworem niedołęstwa organizacyjnego i apatji umysłowej, a przedstawienie, także „na cześć", odznaczało się pustkami w sali i dziurami w kasie teatralnej... Z rady miejskiej, ze stu radnych, był tylko jeden, jedyny, p. Bardasz, z posłów dwóch, czy trzech — no, i koniec. *Czas* napisał, że na zaproszeniach były podpisane „niepopularne nazwiska". No, może to i zaszkodziło, ale, gdyby te same „nazwiska" zapraszały n. p. na bankiet jaki, szczególnej z aktorkami, to zaroiłoby się od dygnitarzy autonomicznych, i od mężów publicznego zaufania...

U nas, we Lwowie — może coś być i choć jest — może nie być...

To już specjalność znowu p. Schmitta, który przedstawienia swoje przeniósł z teatru do *Dziennika Polskiego*. Był na jubileuszu Bogusławskiego prolog wierszem Jana Kasprowicza, — deklamował to p. Żelazowski aż usłyszano go w Krakowie, — w *Czasie*, ale p. Schmitt zaprodukował w *Dzienniku Polskim*: „hocus, — a pocus!" nie było wiersza, nie było Kasprowicza — no, i nie było w *Dzienniku*. Taką samą woltę urządził p. Schmitt z komedją „Zdrowi i pokaleczeni." — i co mu kto zrobi!... Jak kto inaczej wywrzeć złości nie może, to choć ściśnie coś rzadkiego w pięści, pocieknie mu po palcach i zawsze na duszy zrobi się lżej...

Ta rasa, co zkąd się wzięła, bo nie z soli, ani z roli, — ta rasa naszych „publicystów", którzy do literatury dziennikarskiej nic nie wnieśli, ale to literalnie *nic*, oprócz pewnego życiowego sprytu handlarskiego, węchu i komedjanctwa patrjotycznego — to bardzo ładna rasa, ale to chyba nie polska rasa, bo np. w Warszawie, gdzie istnieją istotne i głębsze antogonizmy literackie i publicystyczne, na taką szlachetną broń, zdobyto by się względem autorów polskich — chyba w... *Warszawskom Dniewnikie*.

Od ręki.

— Misje katolickie.

Jak donosi „Theologische Quartalschrift", czasopismo wychodzące w Linzu, zarząd misyj protestanchich w Batawji, w Indjach wschodnich takie daje świadectwo o misjonarzach katolickich: „Nikt nie może zaprzeczyć, że Kościołowi rzymskiemu w Indjach ciągle przybywają wierni. Dobrze zwarte szeregi, gdyby falangi macedońskie misjonarzy katolickich, postępują naprzód i odnoszą zwycięstwo za zwycięstwem. A przyczyny tego należy szukać w tem, że urządzenie misyj rzymskich przedstawia się uroczo. Widzieć można tam, przynajmniej, prawdziwie obraz jednego Kościoła; wszyscy, bowiem, mają wiarę jedną; ich kapłan i słudzy rzadko się sprzeczają: co jeden uważa za artykuł wiary, inny tego zaprzeczyć nie śmie i nie może. W ich urządzeniu jest to, czego u nas niema, a co nas po za nimi daleko zostawia. Główny nadzorca naszej wysokiej instytucji przez rząd wybierany bywa i zwykle jest jednym z doradców państwowych: na czele misji rzymskich stoi biskup, naznaczony przez najwyższą Głowę Kościoła i dopiero przez władzę świecką zatwierdzony. Biskup ten wybrany jest z zasłużeńszych i godniejszych na ziemi, obeznany z misjami, posiada więc prawdziwą wyższość i dlatego rządzi poważną ręką. Zaparcie się znów kapłanów rzymskich, jest największego podziwu godne — widzieć można, jak płacę wydaną przez rząd, po bratersku dzielą między potrzebujących. Misje te mają szkoły we wszystkich miastach, ich cele nie leżą w samem tylko nawracaniu: cały świat ich czci, a nawet i protestant nie żałuje, jeśli dziecko swe wychował w klasztorze. Siostry klasztorne pielęgnują powierzono ich opiece dziewczynki z wielkim taktem i rzadko znaleść można z ich wychowanek, któraby nie mówiła o nich z gorącem ku nim przywiązaniem i miłością. Pieczołowitość, z jaką kapłani rzymscy szykują szpitale i przytułki, zmusza, by im oddać pochwałę; biedni unoszą się jednogłośnie nad ich serdecznością i miłosierdziem. Księża ci okazują słowem wiele wytrwałości i poświęcenia, co jest przyczyną, że wierni i rządy usilnie im w odnoszeniu owoców ich pracy pomagają".

Nasz przemysł.

Mówi się u nas wiele i pisze o ignorancji naszej kupującej publiczności, która przemysłu krajowego nie popiera — mówi się na ten temat, potępiając ryczałtem wszystkich, bez względu za to, że w niektórych gałęziach przemysł nasz jest jeszcze tak słabo rozwinięty, iż pod względem jakości wyroby jego z zagranicznymi konkurencji wytrzymać nie mogą. Są znowu wypadki, gdzie płody naszego przemysłu krajowego nie doznają należ. tego poparcia, li z winy tylko niesumienności pośred. ików, którzy w źle zrozumianym interesie własnym, a w zupełnem niezrozumieniu interesów ogółu, sprowa zają z zagranicy towar lichy i narzucają go publie ności. Mamy tutaj specjalnie na myśli fryzjerów lwowskich, którzy odbiorców swoich zaopatrują we fabrykaty zagraniczne, pomijając systematycznie wyroby galicyjskiej firmy Ihnatowicza. Szersza publiczność, pociągająca wyroby w zakres tego rodzaju fabryk wchodzące wprost ze źródła darzy Ihnatowicza należnem mu uznaniem i zaufaniem, ale, jak mówiliśmy br, fryzjerzy nasi, którzy mają możność sprzedawania i, rzeczywiście, używają dla swoich zakładów we wielkich ilościach, kosmetyki — swoim gościom narzucają mu po prostu fabrykaty zagraniczne, które gorsze są od wyrobów Ihnatowicza. Nawiasem powiedzieć tu jeszcze musimy, że Ihnatowicz do pracy przystąpił nietylko z kompletnem wykształceniem praktycznem, ale i z teorytycznem przygotowaniem, jako ukończony farmaceuta na uniwersytecie — wyroby zaś jego fabryki są zbyt znane, jako niezaprzeczenie dobre, żeby aż poparcia sztucznego potrzebowały — w każdym jednak razie, obowiązkiem naszym jest zwrócić uwagę publiczności na niewłaściwość, jaką dostrzegliśmy w postępowaniu zakładów fryzjerskich, będących, bądź, co bądź, pośrednikami między fabryką, a pewną masą kupującej publiczności.

Kronika żałobna.

Dnia 15 stycznia br. zmarł w Obermais pod Meranem, Józef Mrazek sekretarz Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie. Zmarły był jednym z najlepszych urzędników Towarzystwa, a pracował w niem przeszło lat trzydzieści. Przez cały ten długi szereg lat obdarzany przez dyrekcję i radę nadzorczą Towarzystwa, szczególnem zaufaniem, za swą sumienną, nie strudzoną, a pełną wybitnej inteligencji pracę. Śmierć śp. Józefa Mrazka okryła żałobą tak osobistości stojące na czele Towarzystwa, dla których był dzielnym pomocnikiem w pracy około dobra i rozwoju Towarzystwa, jak też i personal urzędniczy, wśród którego cieszył się słusznie mu należną sympatją i prawdziwym, a szczerym szacunkiem.

Kurjerek.

* Od pewnego czasu, obiega pogłoska, kolportowana z Krakowa, o szulerskiem oszustwie, popełnionem w tem mieście. Ponieważ fakt ten dotyczy osoby powszechnie znanej i zajmującej do niedawna wybitne stanowisko, nie można się dziwić, że szeroka publiczność interesuje się tą pogłoską — szkoda tylko, że krakowskie pisma, zamiast dwuznacznych doniesień, nie objaśniły, jak rzeczy właściwie stoją. Otóż, postaraliśmy się o dokładne informacje z Krakowa i rzecz tak się przedstawia: u pana G., zbierało się szczupłe grono ludzi, grających po całych nocach w karty i wzajemnie ogrywających się, gdyż gra była hazardowna. Niedawno temu, już po północy, pan G. wyjątkowo zmęczony, położył się spać, a gościom pozwolił grać dalej. Już nad ranem obudzony został ogromnym hałasem i bijatyką w pokoju, gdzie goście grali. Okazało się, że złapano jednego z gości na oszustwie, dokonywanem za pomocą znaczonych kart, którego też na razie na miejscu obito. Mimo zaręczeń pana G., że szkodą ztąd wynikłą sam zapłaci, nie usłuchano gospodarza, podejrzewając go, że był w spółce od dawna z owym oszustem. Gdy pan G., za swymi interesami wyjechał do Warszawy, zrobiono doniesienie do prokuratorji krakowskiej, gdzie złożono również owe karty znaczone. Dotąd nic nie wiadomo, co władza sądowa zrobi z tym fantem, ale to tylko nie ulega najmniejszej wątliwości, że przegrane sumy nie przechodzą nawet kilku tysięcy złr., i, że osoby, biorące udział w tej grze, ze względu na swoje pozycje materjalne, nie mogłyby przegrać tak znacznych sum, o jakich bajki, po prostu, chodzą. Nie jest rzeczą również dowiedzioną, czy pan G., jest wspólnikiem tego oszustwa karciannego, a jedynie jest faktem, że w jego domu od dłuższego czasu odbywała się ta gra hazardowa po nocach i zaszedł fakt wyżej przez nas opisany.

* Wydawnictwo *Dziennika Polskiego* we Lwowie, jak zapewniają z wiarogodnego źródła, przeszło na na zupełną własność p. Stanisława Szczepanowskiego, posła na sejm i do rady państwa. Tym sposobem, dotychczasowi właściciele tego *Dziennika*, p. p. Schmitt i Barański usuwają się z areny publicystycznej, co szczególniej p. Schmittowi powinno wyjść na zdrowie, bo, i jako dyrektor teatru, i jako dziennikarz, nie był w swojem towarzystwie.

* Dowiadujemy się, że w głośnej sprawie z lwowskiego bruku, o której się mówi tyle po cichu, a dowodzącej okropnego zwyrodnienia obyczajów, do przeprowadzenia śledztwa i rozprawy, został delegowany umyślnie sąd w Stanisławowie.

* Ze sfer aktorskich zawiadomiają, że artystka lwowskiego teatru: p. Żelazowska, przenosi się na scenę krakowską, gdzie już została zaangażowana — nie jest, jednak, rzeczą pewną, czy p. Żelazowski również przejdzie do teatru krakowskiego i bardzo być może, iż zostanie sam na scenie lwowskiej, co się, zresztą, wkrótce roztrzygnie.

* Do sejmu krajowego, jak wiadomo, mają w tym roku nastąpić nowe wybory. Nie ulega wątpliwości, że fizjognomja sejmu zmieni się. Zapewniają z dobrze poinformowanych źródeł, że p. Tadeusz Romanowicz, nie tylko nie będzie członkiem Wydziału, lecz w ogóle wątpliwem jest, czy zostanie wybrany posłem a już z największą pewnością Lwów go nie wybierze. Sól bardzo zaszkodziła p. Romanowiczowi w opinji. Na gospodarstwie solnem, które zorganizowane i prowadzone było przez p. Romanowicza, okazało się 42.000 złr. strat. PP. Sawczak i Franciszek Jędrzejowicz, również nie będą wybrani członkami Wydziału, a na miejsce pierwszego przyjdzie, prawdopodobnie, p. Barwiński. Jeśli książę Sanguszko zrezygnuje z marszałkostwa, przestanie być, z pewnością, prezesem i członkiem Wydziału p. Chamiec, ale, jak dotąd, bynajmniej, nie są usprawiedliwione pogłoski o ustąpieniu księcia marszałka, który pod tym względem, ani nie zrobił jeszcze stanowczego kroku, ani myślał zrobić zwłaszcza, że zajęty jest więcej swojem niedalekiem małżeństwem, aniżeli sprawą, która na razie, nie potrzebuje być załatwioną. Utrzymują, że p Mochnacki, prezydnt Lwowa, ubiegać się będzie o mandat do Sejmu krajowego z naszego miasta — toby powikłało szyki innym kandydatom. W każdym razie, walka we Lwowie będzie zażarta.

* Obiegają uzasadnione pogłoski, że minister: dr. Madeyski ma zająć stanowisko prezydenta sądu apelacyjnego opróżnione po p. Simonowiczu — w takim razie, najprawdopodobniej p. Bobrzyński otrzymałby tekę ministra oświaty.

* Jakoś w naszych sferach dygnitarskich zebrał się materjał na małżeństwa. Najwyższy naczelnik naszej autonomji, jak wiadomo, niezadługo porzuca piękny i wolny stan kawalerski. Dobry, widocznie przykład poszedł z góry, bo, jak się dowiadujemy, p. Mora Korytowski vice-prezydent krajowej dyrekcji skarbowej, jeszcze w tym karnawale zaślubia hrabiankę Ponińską z Wrześni, w Poznańskiem.

ROMANS TENORA.

Powieść

MARIONA GRAWFORDA

przekład z angielskiego.

I.

Trzeba wam wiedzieć, że ja, Cornelio Grandi, który wam te rzeczy opowiadam, posiadam też własne moje dzieje, nie każdemu z was znane. Słyszeliście, jednak, zapewne, że nie zawsze byłem ubogim i nie zawsze musiałem na życie zarabiać, jako profesor filozofji, pisywaniem suchych artykułów. Wielu z was może zapamietać czasy, w których zmuszony byłem sprzedawać ojcowiznę, ukochany zameczek w Sabińskich górach, wraz z żyznem polem, z winnicą w dolinie i laskiem oliwnym. Bo nie jestem jeszcze, właściwie, stary; moja służąca, Marjanna, starsza jest odemnie, jak to jej często powtarzam, choć ona temu nie wierzy. W dziwnych żyjemy czasach; co do mnie, wiem tylko, że w zmianie mego położenia nie mam sobie nic do wyrzucenia. Ponieważ, jednak, Nino blizkim jest stania się słynnym w całym świecie i ludzie rozpowiadają sobie o nim mnóstwo rozmaitych rzeczy, mniej, lub więcej dla niego korzystnych, wydaje mi się, iż najlepiej będzie, jeżeli całą prawdę co do niego wypowiem. Nino, bowiem, jest prawdziwym synem dla mnie, wychowałem go od samego dziecka, uczyłem go łaciny i pragnąłem kształcić w nauce filozofji. Ale cóż ja mogłem poradzić, skoro ten chłopak miał tyle głosu, że nie wiedziałem, co z nim zrobić?

Matka jego często zwykła była śpiewać. Cóż to za urodziwa była kobieta! Głos miała do męzkiego zupełnie podobny; gdy kiedyś De Pretis zjechał do nas na jakąś uroczystość ze swymi śpiewakami, zdarzyło się, że ją usłyszał z tarasu, po którym przechadzali się obadwaj i zapytał mnie, czy nie oddałbym mu do wykształcenia tego młodego tenora. A kiedy mu powiedziałem, że głos ten należy do młodej wieśniaczki, której mąż dzierżawi u mnie kawałek gruntu, wierzyć mi nie chciał na razie. Ale nie słyszałem jej więcej śpiewającej, odkąd Serafino — tak było na imię jej mężowi — zabity został na sąsiednim jarmarku. Wkrótce też potem zabrała ją gorączka i wtedy Nino, drobny jeszcze chłopaczek, pozostał sierotą. W tym to czasie sprzedawać wypadło Castel Serviti i przenieść się do Rzymu. Wówczas dostał się do mnie Nino. Przywiózł mi go pewnego dnia wieśniak z Serweti, który najmując się nieraz do miasta, zatrzymywał się często przed mojemi drzwiami dla ofiarowania mi trochę owoców, lub świeżej oliwy, pamiętając, iż w ratach dzierżawnych zawsze zalegał, kiedym jeszcze był jego dziedzicem. Otóż, przywiózł kiedyś z sobą tego sześcioletniego chłopczyka, niby dla pokazania mi go tylko.

Był to brzydki dzieciak, z zamorusaną twarzą, w osobliwie wygniecionym kapeluszu, z czarnemi dużemi oczyma, mocno podkrążonemi siną obwódką, co im dotychczas pozostało, i szerokiemi szczękami, które go bardzo oszpecały. Co prawda, nie wiele on się z czasem zmienił, co do urody i mniemam, że gdyby nie zręczność jego kształtów i ruchów, nie byłby zdolny pozyskać na scenie powodzenia, pomimo swego cudownego głosu.

Gdy mi wtedy przyprowadzono do kuchni tego chłopaczka, Marjanna, która bardzo lubi dzieci, poczęstowała go resztkami obiadu i prosiła, aby mógł u nas pozostać, dopóki jego opiekun nie załatwi w mieście swoich interesów, a potem znowu uparła się przy zatrzymaniu go u siebie do następnego tygodnia, dowodząc, że wyżywienie takiej kruszyny w niczem nie zwiększy domowego wydatku; bo już to w ogóle ta stara kobiecina, przy całej swojej wierności, nie może nigdy nauczyć się zasad oszczędności takiej, jaką ja rozumiem w domowym zarządzie.

W tym razie, jednak, musiałem uledz jej naleganiom, poprostu dla miłego spokoju, i oto, jak się stało, że po niedługim czasie Nino pozostał u nas na dobre. Nie bardzo go z początku lubiłem, bo szpetny był i odrapanie wyglądał w pomiętym kapeluszu i podartym jedynym trzewiku. Przeszkadzał mi także nieustannem śpiewaniem na całe gardło i psotnem wyrzucaniem przez okno w podwórze wszystkiego, co mu tylko w ręce wpadło.

Ale nie było na to rady. Marjanna coraz bardziej przywiązywała się do tego przybłędy i widziałem, że nie ma już sposobu pozbycia się go z domu. Nie wiedziałem dotąd, że ta stara umie czytać, jako tako, ale przekonałem się o tem, widząc, że liter uczyła Nina z „Żywotów Świętych“, a przyznać muszę, że chłopak okazał się dziwnie pojętny i wkrótce prześcignął nauczycielkę, której w każdym razie zawdzięcza pierwsze podstawy swego wykształcenia. Po niedługim czasie, wychowaniec Maryanny oduczył się grzebania rękami w błocie; bywał też codzień przez nią umywany, kupiłem mu nowe trzewiki, tak, iż nabrał zupełnie przyzwoitego wyglądu. Nie ciągnął też tak często, jak przedtem kota za ogon, aby mu w śpiewie wtórował i Marjanna poczęła go brać z sobą do kościoła, co mu wielką sprawiało przyjemność. Ale kiedym go pewnego razu zapytał, czy chciałby później księdzem zostać i mieć przy mszy do usługi ładne dzieci, odpowiedział stanowczo, że wcale sobie tego nie życzy, gdyż skoro zostanie wielkim człowiekiem, będzie śpiewał w kościele na chórze, tak samo, jak pan De Pretis.

— I cóżbyś ty wtedy chciał zaśpiewać? — spytałem go z uśmiechem. A on z wielką powagą rozwinął ćwiartkę szarego papieru i wybijając takt na moich kolanach, zaintonował śmiało kościelną pieśń: *Cornvejus exaltabitur*.

Pocieszne to było, ale i dziwne naprawdę, gdyż malec miał wtedy zaledwie lat siedm, a Marjanna, siedząca nad pończochą w sąsiednim pokoju, zawołała, że to samo, właśnie, śpiewał dnia poprzedniego w kościele mistrz De Pretis.

Mam w domu stary fortepian, bardzo rozkołotany, choć uchodził niegdyś za arcydzieło w swoim rodzaju. Posiada on aż pięć pedałów w dole, ale jeden tylko głos wydający odgłos dzwonka, oddziaływa na dźwięki instrumentu, którego też klawisze w części już oniemiały. Stało się to za sprawą czasu, a także i zaniedbania, w którem ów wytwór sztuki przez długie lata pozostawał. Przyszło, wreszcie, do tego, że dwie przegniłe nogi musiały zastąpić jakieś próżne pudła drewniane, a we wnętrzu chowała Marjanna zimną pieczeń i flaszki z winem; ale pewnego wieczora niemiecki mistrz przyszedł do mnie, i gdy Nino, spory już wyrostek, śpiewać począł swoim zwyczajem, De Pretis spróbował akompaniować mu na tem starem klepadle. Od tego czasu Nino używał je też niekiedy, ponaprawiawszy, o ile mógł, zepsute klawisze i tak się wreszcie do niego przyzwyczaił, że go przekładał nad wyborny fortepian De Pretisa. Co prawda, mało on w ogóle potrzebował pomocy dla swego głosu, śpiewał, bowiem, z tą samą swobodą i trafnością tonu, co ptacy niebiescy.

Korzystając z wszechstronnych zdolności chłopaka, chciałem go kształcić w łacinie, ale jakkolwiek uczył się jej z łatwością, przekonałem się niebawem, że nie uda mi się nigdy wykierować go na filozofa, jak o tem marzyłem. Rwał się tylko z zapałem do dzieł mistrzów poezji, przekładając w niej, jednak, utwory bliższe naszej epoki, nad arcydzieła klasyków i przyznając Dantemu pierwszeństwo nad Wirgiliuszem, zarówno, jak Leopardemu nad Horacym.

Pewnego dnia, ni ztąd, ni zowąd, podczas, gdy po swojemu wyśpiewywał na całe gardło, ku uciesze Marjanny i udręczeniu kota, targanego przytem za ogon, głos mu się nagle złamał przy jakimś passażu ze zgrzytem przeraźliwym i to samo powtórzyło się parę razy nazajutrz. Potem już cisza zapanowała w całym domu. Nie zwracałem zrazu uwagi na ową zmianę, gdyż wszystkie myśli moje zajmowało wtedy przygotowanie odczytu, który miałem wkrótce wygłosić, ale kiedyś późnym wieczorem zastałem chłopaka drzemiącego przy starym fortepianie, z oczyma od łez wilgotnemi.

— Cóż ci się stało, Nino? — spytałem go —, czas by już było iść do łożka.

— Ach, panie Cornelio! — odpowiedział mi łkając, gdy się rozbudził — wielkie nieszczęście mnie spotkało. Nie będę już więcej śpiewał; głos mi się rozprysł w kawałki.

— Niechże dzięki będą niebu! — pomyślałem — teraz cię będę mógł wykierować na uczonego.

Nie dał się żaden sposób pocieszyć po stracie i przez kilka miesięcy chodził, jak błędny, a chociaż wiele czytywał przez ten czas i robił w naukach postępy, smutny był ciągle i widocznie mizerniał. Wprawiało to w rozpacz Marjannę, która dowodziła, że się zakochał ten szesnastoletni wyrostek. Ale za to w domu panował teraz spokój zupełny.

Myślałem już tak samo, jak i Nino, że głos jego przepadł na zawsze, ale nie dotykałem tego przedmiotu, nie chcąc mu sprawiać przykrości. Rzecz miała się wszelako inaczej, niż się nam zdawało. Pewnego razu De Pretis przyszedł mnie odwiedzić, a ponieważ rzadkim bywał u nas gościem w zimowej porze, Marjanna postawiła na stole butelkę z winem i talerz z ciastem. Niekoniecznie to było potrzebne, ale już taka natura tej kobiety, że ją zawsze coś ciągnie do niepotrzebnych wydatków. Kiedym jej to wymawiał, odpowiedziała, że ponieważ mam teraz własne wino, nabywszy od niedawna małą winnicę, należy mi przecież przyjąć gościa przyzwoicie, skoro go Bóg przyśle. Nie upierałem się też więcej przy mojem zdaniu, wiedząc dobrze, że kobiety nikt nie przegada.

Otóż, owego wieczora niemiecki muzyk ciągle mi prawił o jakiejś nowej operze, którą słyszał niedawno i chce mi dać poznać arję, która mu się w niej podobała szczególnie; zanucił ją więc przy fortepjanie. Sam śpiewał wyłącznie w kościołach, ale wieczorami często bywał w teatrze i bardzo się nim zajmował. Nino, milczący dotąd i zamyślony, jakim go teraz zawsze widywałem, przysłuchiwał się bacznie mistrzowi i nagle zawołał po skończeniu przez niego arji:

— O mój Boże! gdybym ja to mógł zaśpiewać!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ciekawe rzeczy.

Co wydaje i płaci Anglja? Anglja wydaje rocznie 500 miljonów franków na swoje napoje, ma zaś 18 miljardów franków długów. Dalej konsumuje za 1800 miljonów franków chleba, za 900 miljonów masła i sera, za 2020 miljonów mleka, cukru, kawy i herbaty. To też zawsze z optymizmem człowieka, który dobrze zjadł i dobrze się napił, spogląda w przyszłość. Zajdźmy na chwilę do izby gmin i porównajmy mowy tu wygłaszane z przemówieniami posłów w innych parlamentach europejskich. Dostrzeżemy, że anglicy przemawiają w swojem ciele prawodawczem spokojnie, patrzą na rzecz zimno, gdy poseł parlamentu europejskiego ciska gromy, przedstawia rzeczy w najczarniejszych kolorach, grozi, przewiduje najstraszliwsze skutki nieprzyjęcia tego, lub przyjęcia owego prawa. Obalenie, lub osłabienie izby lordów, kwestje agrarne nie są, bynajmniej, mniej ważne, niż sprawy, rozpatrywane w parlamentach europejskich. Ale anglik nawet tyle poważne pytania roztrząsa tak, aby mu nie przeszkadzały do trawienia.

Wydatki gotówką przeciętnego anglika zwiększają się z rokiem każdym, choćby dla tego, iż coraz więcej mieszkańców wiosek przechodzi do miasta na stałe zamieszkanie, w miastach zaś za wszystko w gotówce płacić trzeba, gdy wieś wielu rzeczy codziennego użytku dostarcza w naturze. Przyczyną tego, jest angielski system agrarny: na 72 miljony akrów, stanowiących obszar rolny Wielkiej Brytanji, 50 miljonów należy do 15000 osób, tak, iż 38,485,000 mieszkańców, posiada 22 miljony akrów, gdy 15.000 uprzywilejowanych anglików włada 50 tychże akrów miljonami. Ztąd tak wielki rozwój miast w Anglji, ztąd tak wielka w tychże miastach drożyzna. Według ostatnich wykazów statystycznych, mieszkańcy wsi stanowią zaledwie 28,3 procent całej ludności angielskiej.

Każda dusza angielska płaci rocznie 70 fr. tylko za prawo chodzenia w ciele, czy to będzie ciało mężczyzny, czy kobiety, czy dziecka. Prócz tego każdy anglik płaci po 7 fr. 50 cen. rocznie na rzecz ubogich. W roku 1880 Anglja liczyła 808.030 darmozjadów, którzy kosztowali ją 201 miljonów fr. Obok tej dobroczynności urzędowej, istnieje bardzo pokaźna rubryka dobroczynności prywatnej. Same towarzystwa wstrzemięźliwości dają 60 miljonów fr., uzbieranych na propagandę z potężnym według nich wrogiem ludzkości: alkoholem.

Jak maszerują żołnierze w wojskach europejskich? W piśmie niemieckiem „Deutsche Warte“ zestawione są szczegóły, wzięte ze źródeł wojskowych o marszu żołnierzy w poszczególnych państwach europejskich. Długość kroku żołnierza rosyjskiego wynosi 71 centymetrów. We Francji, Austrji, Włoszech, Belgji, Szwecji, Swajcarji krok ten jest jednostajny i wynosi 85 cm. — w Niemczech 80 cm. Liczba w minucie danych kroków wynosi w Rosji 115 — w Niemczech 112 — w Belgji 110 — we Włoszech 120 — w Austrji 115 do 118 — we Francji 112 do 116. Z tego obliczenia wynika, że armja niemiecka uchodzi w minucie 89 metrów, francuska 86, rosyjska 88, włoska 90 metrów. Dalszy ztąd wniosek, że w razie przegranej włosi najprędzej będą uciekali z pola bitwy.

W Indjach angielskich dzikie zwierzęta w roku ubiegłym przyprawiły o śmierć około 37 tysięcy ludzi — przez ukąszenie samych tylko wężów jadowitych umarło 18.500 osób. Rząd angielski wypłacił 117.447 rupij za 12.657 zabitych tygrysów, za 4088 lampartów i 117.120 wężów. Zwierzęta te dzikie i płazy przyprawiły o śmierć 62 tysiące zwierząt domowych, stanowiących żywy inwentarz mieszkańców. Cyfry te są znaczne, ale uważać należy, że Indje wschodnie, nad któremi Anglja panuje, mają 2 miljony 197.673 kwadratowych kilometrów obszaru i przeszło 200 milionów mieszkańców. Anglików jest tamże nie całe 100 tysięcy, przeważnie wojskowych z rodzinami. Żołnierzy anglików było w r. 1896 około 62 tysięcy i ci trzymają tę ogromną liczbę ludności krajowej — w szachu i posłuszeństwie dla rządu angielskiego.

Hurra! wołają nieraz ludzie, gdy okrzyk na zdrowie czyje wznoszą. Tymczasem to słowo wcale nie jest życzeniem na zdrowie. Pochodzi ono z tureckiego słowa „urah“, co znaczy na polskie: zabij go! Jańczarskie wojsko tureckie krzyczało go przed bitwą, co znaczyło, że zachęcali się żołnierze do zabijania nieprzyjaciela. Rosjanie nie rozumiejąc znaczenia tego słowa myśleli, że to jest pozdrowienie i też tak krzyczeć zaczęli. Potem okrzyk ten rozpowszechnił się dalej, a dziś gdy komu wołają na zdrowie, to mówią: hurra! Ale dosłownie znaczy to: zabij go!

August Korczak Gorayski.

(Do portretu.)

W szeregu pracowników naszych, którzy stworzyli powszechną wystawę krajową, jedno z najwybitniejszych miejsc, należy się jej wiceprezesowi, Augustowi Korczak Gorayskiemu, którego właśnie wizerunek podajemy w dzisiejszym numerze. Gorayski, to jeden z tych ludzi, ktorych, niestety, nie ma u nas wielu, a którzy oddali swoją wiedzę, energję, środki finansowe, poświęcili całe życie dla podniesienia przemysłu krajowego, a więc dla podniesienia ogólnego dobrobytu. Rozwój przemysłu naftowego w Galicji, zawdzięczać należy przeważnie Gorayskiemu, który pierwszy zajął się skutecznie tem, żeby tę gałęź przemysłu będącego wówczas jeszcze w powiciu, postawić na stopie rozwoju, na jakiej się dzisiaj znajduje. Rolnik i znakomity znawca stosunków ekonomicznych kraju naszego, wprowadził nowe udoskonalone sposoby exploatowania nafty, a sprężystą administracją, organizowaniem rozmaitych spółek przedsiębiorstw naftowych, już to sam, już to w spółce z firmą Bergheim i Max Garvey, wprowadzając kanadyjski system wiercenia dla Spółki jasielskiej, dawał jaskrawy przykład, jak tego rodzaju przedsiębiorstwa prowadzone być powinny, żeby mogły dawać realne zyski, a nie były grą w loterję. Obok przemysłu naftowego, przemysł tkacki zawdzięcza Gorayskiemu bardzo wiele. Jako marszałek powiatu krośnieńskiego, widząc w powiecie stopniowy upadek tkactwa wskutek zabijającej konkurencji zagranicznej, obrany prezesem „Pierwszego galic. tow. dla krajowego przemysłu tkackiego w Krośnie“, zajął się gorąco budową fabryki blichu i apretury w Krośnie, którą to pracę przy pomocy subwencji krajowej szczęśliwie do skutku doprowadził. Towarzystwo rzeczone, na którego czele stoi Gorayski, zmieniło następnie nazwę na: „Krajowe Tow. tkackie: Prządka w Krośnie“. O ile pomyślny skutek uwieńczył pracę Gorayskiego, niech będzie miarą, to, że Towarzystwo we fabrykach swoich, zatrudnia około 1000 tkaczy a mając własną fabrykę blichu i apretury, nie wysela wyrobów swoich do fabryk czeskich i morawskich, jak to robiono dawniej ze stratą i ubytkiem krajowego grosza.

Gorayski jest posłem na sejm krajowy, członkiem izby panów, marszałkiem powiatu, prezesem Tow. naftowego, prezesem Towarz. tkackiego, a na każdem z tych stanowisk ma za sobą cały szereg zasług, cały szereg czynów tak wybitnie obywatelskich, że chyba tylko czoła uchylić przed nim i jego działalnością. Rolnikiem też jest wzorowym Wyrazem gorącego uznania ze strony naszego obywatelstwa, była owacja, jaką Gorayskiemu zrobili zasłużeni w kraju ludzie, w dniu 15. listopada 1894, w sali Rady powiatowej w Jaśle, w okazji dwudziesto pięcioletniej rocznicy jego zaślubin. Oddano wówczas hołd cnotom jego tak w życiu domowem, jak i na polu działalności obywatelskiej, a widomą oznaką tej czci był piękny podarunek, który jubilatowi ofiarowano, a który, niezawodnie jego będzie najdroższą pamiątką, bo dowodem czci obywatelskiej.

Teatr — koncerta — widowiska.

W bieżącej kronice teatralnej, pod względem ilości mamy do zanotowania gromadę całą... Po farsie *Małżeństwo na próbę*, o której już pisaliśmy, przyszła nowa farsa: *Wybory do Rady miejskiej*, równie, jak tamta z wiedeńskiego bruku, tylko zlokalizowana przez tłomacza. To, właśnie, zlokalizowanie pogorszyło sprawę już i tak słabym *Wyborom*, które przeflancowane na bruk lwowski, wyglądały, jak prawdziwe czupiradło. Ani w tem sensu, ani obyczajowej plastyki, ani humoru, ani krzty dowcipu, tylko łataniny po scenie, co niemiara. Artyści nasi w główniejszych rolach, grając je umiarkowanie i moderyzując wyskoki wiedeńskiego farsisty i lwowskiego lokalizatora, zasłużyli na zupełne uznanie — grali zaś pp. Ruszkowski, Feldmann Jaworski, Walewski, Kliszewski i inni, oraz panie: Czaplińska, Gostyńska i inne.

Jeden wieczór w tym czasie, oddany był na przedstawienie na dochód Towarzystwa szkoły ludowej. Otóż, przedstawienie to przyniosło nam dwie jednoaktowe premiery oryginalne. Jedną z nich była: *Zjazd koleżeński*, napisany przez p. Z. Przybylskiego. Jest to wdzięczny i sympatyczny obrazek pomyślany w skromnych ramach powszedniego życia, który nie jest, co prawda, świeży pod względem kreślonych postaci i sytuacyj, ale słucha go się z przyjemnością, właśnie dla tego, że, widocznie, autor oprócz zabawy, nie miał nic innego na celu. W obrazku tym, brał udział liczny dosyć personal, bo osób z dziesięć — główne jednak role doskonale odegrane, powierzone były paniom: Kwiecińskiej, Gostyńskiej, Otrembowej, Gosławskiej, Nowickiej, Rybickiej i Polkowskiej, oraz panom Fiszerowi, Walewskiemu, Kliszewskiemu, Jaworskiemu i innym.

Drugą premierą była *Wigilja św. Andrzeja*, także w jednym akcie, rzecz napisana przez p. Dominika. *Wigilja* jest sztuką ludową. U nas pod względem tych sztuk ludowych od czasu Anczyca, ani na krok nie poszło się naprzód. Podług jednego i tego samego wzoru ustawia się chłopów na scenie i każe im się gadać, lub śpiewać — dla tego względnie do dzisiejszych stosunków, przeobrażeń od dołu, sztuki takie grzeszą, przedewszystkiem, kłamstwem społecznem i etycznem. To samo i z *Wigilią św. Andrzeja*, którą do pewnego stopnia uratowały śpiewy i tańce, ale to już chyba nie autora zasługa. Wiejską dziewczynę zdaje nam się, Marychnę, bohaterkę *Wigilji* ślicznie i naturalnie odegrała p. Kwiecińska; wyborną dziewczyną wiejską była panna Rybicka. Z innych ról kobiecych, odznaczyły się panie: Gostyńska i Otrembowa. Z męskich ról wysunęli się na pierwszy plan pp. Wysocki i Feldmann, którzy znakomicie odegrali chłopskie role, zachowując w nich całą barwę i typowość ludową. Grali jeszcze pp. Jaworski, Kliszewski, Stróżewski i wiele innych, którzy tworzyli zbiorowe sceny śpiewając, lub tańcząc, co wypadło ładnie i efektownie.

Na tem przedstawieniu grał epizod *z Hamleta* p. Kotarbiński z Krakowa, śpiewało dzielne nasze „Echo“ i słyszeliśmy po raz pierwszy pannę Radkiewicz, amatorkę, która zaimponowała swoim silnym, niskim, sięgającym do altu głosem. Przedstawienie to rozpoczęła odegrana przez orkiestrę piękna uwertura z opery Jareckiego p. t. *Jadwiga*.

Sezon operowy rozpoczął się już u nas z dniem 15-go stycznia. Personal operowy do tej chwili składa się z samych sił swojskich, pomiędzy któremi na jeden sezon zaangażowami zostali pp. Myszuga, Jeromin, Szymański (baryton) i panna Carnioli (mezzo-sopran). Na gościnne występy obiecują nam parę włochów i włoszek, ale trochę później, a jakby wcale nieprzyjechali, toby się znowu dziura we Lwowie nie zrobiła. Wolelibyśmy jakich gości naszych — z Warszawy. Sezon rozpoczął się „Halką“, w której, oczywiście, zbierał gromkie oklaski p. Myszuga za Jontka i p. Jeromin za miecznika. Co do p. Szymańskiego, nowo angażowanego barytona — to śpiewak ten posiada głos przyjemny, choć niezbyt silny, a co gorsza

Jak nam się zdaje, niewytrzymały — prezentuje się dobrze. W każdym razie, jest to śpiewak młody, posiadający przed sobą przyszłość.

Panna Zapałkiewicz (Carnioli) warszawianka, już u nas w r. zeszłym występowała w *Mignon*. Panna Z. posiada przyjemny głos mezzo-sopranowy, wygląda ładnie i posiada repertuar.

Wracając się do opery, musimy nadmienić, że koniecznie powinno się odświeżyć repertuar temi, przynajmniej operami, które oddawna są śpiewane na zagranicznych scenach, a znaczną część z nich grano przed laty i we Lwowie. Tak, jak jest, zawsze będzie szło kulawo. Tylko na bardzo sławnych śpiewaków uczęszcza tłumnie publiczność, choć występują w starych operach i to, gdy śpiewają gościnnie.

Dlaczego u nas nie wznawia się Moniuszki *Hrabiny, Beaty, Flisa, Verbum nobile?* Czemu nie słyszymy *Cyrulika sewilskiego, Fra-Diavola, Białej damy* i tylu innych oper, ktore już tu były grane i które leżą w bibliotece teatralnej?...

Zanotować więc tylko należy, że po *Halce*, dano niedługo starą *Faworytę*, w której okazało się, że partja tytułowa, niekoniecznie jest odpowiednią dla natury głosu panny Zapałkiewicz, (Carnioli), która, nie wiemy dlaczego śpiewa ją po włosku i radzimy szczerze, aby zaprzestała tej włoszczyzny, taka samą uwagę zmuszeni jesteśmy zrobić p. Jerominowi. Po co, na co popisywał się włoszczyzną przed Faworytą? Pan Szymański nieźle śpiewał. Dalej jechał *Straszny dwór*, w nim niefortunnym był p. Szymański, a potem pójdzie, ma się rozumieć *Traviata, Aida*, no i jeszcze coś nowego, a dla odmiany po włosku jaka nadwiślańska, lub nawet nadpełtwieńska dusza zanuci — i bardzo ładnie będzie, ale nie w kasie...

Jubileusz 100-letni. W tym czasie minęło 100 lat, jak Wojciech Bogusławski otworzył teatr polski we Lwowie, chociaż, właściwie, już przedtem, daleko wcześniej, niejaki Swieżawski sformował teatr polski, z którym pojechał do Warszawy, a z tamtąd przybył do Lwowa i przedstawienia dawał. Na cześć, tedy, Bogusławskiego Wojciecha, osobny komitet, który, co prawda, nie spracował się, bo prawie nic nie robił, zajął się najzwyklejszym w świecie rautem w kole literacko-artystycznem, na którym p. Pepłowski odczytał rzecz swoją o Bogusławskim, poczem grano i deklamowano, zaś na drugi dzień, dano przedstawienie na cześć Bogusławskiego w teatrze skarbkowskim. Przy dźwiękach poloneza Kurpińskiego, uwieńczono biust Bogusławskiego na scenie w obecności całego personalu teatralnego, następnie p. Żelazowski oddeklamował piękny i silny wiersz p. Jana Kasprowicza, umyślnie na ten cel napisany, poczem nastąpiło przedstawienie sztuki Wojciecha Bogusławskiego p. t. *Mniemany cud* czyli *Krakowiacy i Górale* w 3 aktach. Sztuka ta, jedyny oryginalny utwór Bogusławskiego z muzyką Stefaniego, przeszło 100 lat mająca, w obec dzisiejszych wymogów i rozwoju sceny, stanowi tylko rodzaj literackiej pamiątki i zdaniem naszem, jako całość dla szerszej publiczności, nie kwalifikuje się. Trzeba było pomyśleć o przedstawieniu składanem z różnych wyjątków i epizodów, odnoszących się do czasów i pracy Wojciecha Bogusławskiego — trzeba było coś dać z dzieł Stanisława Bogusławskiego, syna Wojciecha, a tego rodzaju komedje, jak n. p. *Opieka wojskowa* wcale się jeszcze nie zestarzały — jednem słowem, trzeba było pomyśleć, ale u nas we Lwowie dla tego się mało robi, albo nic, że się mało myśli, albo się nie umie myśleć...

Przedstawienie *Krakowiaków i Górali*, było barwne, tańce wykonano doskonale, śpiewy ogromnie wysoko pisane, wyszły także dobrze. W ogóle, przedstawienie byłoby bardzo staranne, w obec... prawie pustego teatru... Gadajże z tą „szanowną“ lwowską publicznością, której najwięcej to smakuje, co cuchnie...

Mimo wielkiego rumoru narobionego przez paryskich reklamistów po całej Europie, bardzo krótko można było pomieścić o 4 aktowej, najnowszej sztuce Wiktoryna Sardou: *Madame Sans Gêne*, którą w tych dniach po raz pierwszy przedstawiono na lwowskiej scenie. Dawniejszy Sardou, komedjopisarz *par excellence*, w najnowszych pracach, nie od dziś zamazał swoją wyrazistą i tryskającą życiem, a zdrowiem fizjonomję. Wszelkie *Fedory, Toscy i Madame Sans Gêny*, to tylko ślady tego, co w dużym talencie Wiktoryna Sardou było.

Madame Sans Gêne — to zbiór figur z czasów Napoleona I. bez typowej charakterystyki, luźnie wypuszczonych na scenę po to tylko, aby okrążyły jedną postać: praczkę, co potem została księżną. Wszystko się tylko kręci naokoło niej i nic nie znaczy. Ta „księżna gdańska“, ta Katarzyna Hübscher, jest jedyną postacią, w której autor skupił les beaux restes swojego talentu — ona jest panią sztuki, bohaterką, dla której wszystko, nie wyłączając całej gromady marszałków ministrów i samego Naholeona tłem tylko i płomykami do lepszego jej oświetlenia i uwydatnienia. Drugi akt z tą całą swoją paradą, zakrawa coś na operetkę, no i sam Napoleon, mimo świetnego otoczenia dekoracyjnego, kostiumowego i meblowego, nie tak bardzo odskakuje od jakiego Mikada...

Ale sama Katarzyna Hübscher, jest, istotnie zajmującą i od samego wejścia na scenę aż do czwartego aktu cieszyć się musi żywą sympatją wykształconej i niewykształconej publiczności, choćby już dlatego, że śmiało i dowcipnie mówi impertynencje ludziom, co na nie zasługują — jak to mówią: rżnie prawdę, a o resztę nie pyta. Po za Katarzyną, po za tą „księżną gdańską“, niema, ani jednej postaci, któraby wychylała się za szranki banalnych figur scenicznych, choć to niby historyczne figury.

W roli tytułowej, pani Stachowicz okazała się znakomitą artystką. Do tych hucznych oklasków, jakie zbierała, przyłączamy się bez żadnych zastrzeżeń i winszujemy gry pełnej artyzmu, prawdy i smaku mimo drażliwych sytuacyj.

Napoleon p. Żelazowskiego był *correcte* — ale Sardou zbanalizował tę postać i pozostawił artyście jedynie charakteryzację i naśladownictwo zewnętrzne — więcej niema w tym Napoleonie nic do roboty dla artysty.

Osób występowało ze sześćdziesiąt, jeśli ni, więcej. Większe role dobrze grali: pp. Woleńskii Ruszkowski, Chmieliński, Feldman, Hierowska Walewski, Jaworski, Kliszewski i inni, oraz penie: Cichocka, Gostyńska, Nawrocka, Kwiecińska, Otrembowa, Gosławska i inne.

Wystawa sztuki piękna i kosztowna, kostiumy bardzo ładne i świeże. Reżyserja umiejętna.

W ogóle, w *Madame Sans Gêne*, tapicer i krawiec, mają ważniejsze role, aniżeli sam Napoleon.

W stowarzyszeniu lwowskich rękodzielników „Gwiazda“ uczczono 32 rocznicę walki narodu o niepodległość, przedstawieniem amatorskiem historycznego dramatu pt. *Renegat*, Henryka hr. Łączyńskiego. Dobrą grę amatorów nieustannie oklaskiwała publiczność, która na ten wieczór wypełniła salę po brzegi. Dochód czysty z przedstawienia, przeznaczyła „Gwiazda“ na gimnazjum polskie w Cieszynie.

Wigilia w lesie*).

Śnieg się usypał głęboki, puszysty, biały. Gałęzie świerków i sosen gięły się pod jego ciężarem, drzewa spokojnym, zimowym snem ujęte, wśród ciszy leśnej stały nieruchome. Wieczór zapadał...

Powolnym krokiem, z dubeltówką przewieszoną przez ramię, stary nadleśny zmierzał ku domowi. Czapkę baranią nasunął na czoło, na siwych wąsach osiadł mu szron i smutną, surową twarz starego człowieka posępniejszym jeszcze niż zwykle przybrał wyrazem.

Drzwi domu zastał uchylone, wszedł i w sieni spotkał się z kobietą niemłodą, ale rumianą jeszcze i czerstwą, w chustce na głowie.

— A! pan mój wraca! — zawołała radośnie — bo ja już lecieć muszę. Dzieciska stęskniły się tam za matką. Przygotowałam wszystko, nakryłam, ogienek napaliłam wesoły, ciepło będzie spać. No, wesołych świąt życzę panu — dodała, całując w rękę nadleśnego.

— Nawzajem, nawzajem! Idźcie z Bogiem moja Antoniowa.

Kobieta wyszła, on za nią drzwi zaryglował i wszedł do izby. Tak, prawda, na kominku ogień płonął wesoły, izbę całą zalewając światłem, stół stał nakryty, pod obrusem leżało siano, waza z zupą dymiła, nawet opłatki białe znalazły się na talerzu; tylko do tego stołu nikt prócz niego zasiąść nie miał, tylko tym opłatkiem nie było się z kim rozłamać!

Machinalnie zdjął dubeltówkę, postawił ją w kącie i usiadł za stołem, ale nie brał się do jedzenia. Szklisty, wpółprzytomny wzrok utkwił w buchający na kominku ogniu i pozostawał tak chwilę; widać myśli jego wędrowały gdzieś daleko. W końcu wziął do ręki chleb, ułamał kawałek i chciał podnieść do ust, ale chleb wypadł mu z ręki, a z siwych, surowych oczu gradem pociekły łzy i szybko stoczyły się po zmarszczonych, ogorzałych policzkach.

Wstał, rozpaczliwym ruchem zacisnął ręce, aż mu zatrzeszczały stawy, jakby się w bolu niezmiernym od jęku usiłował powstrzymać i gwałtownie chodzić począł po pokoju

Ha, inaczej, inaczej bywało tu kiedyś! Ha, i on miał swoje skarby i on miał dzieci swoje! Chłopaka Bóg mu dał jak iskra żywego, a szczerego, a serdecznego jak złoto. W czarnych oczach tlały mu wieczne ognie wesołości, a usta śmiały się takim radosnym dziecinnym prawie śmiechem. Młodą głowę nosił hardo do góry i ojciec nie gniewał się o to, bo jemu tak pięknie było z tą dumą młodzieńczą, nieugiętą, z tym ruchem wyzywającym, śmiałym, którym odrzucał w tył bujne, czarne kędziory.

I dziewczynę miał jasnowłosą. Chodziła ze spuszczonemi warkoczami i kiedy się śmiała to przez łzy, a kiedy płakała to jej uśmiech anielski wykwitał na ustach.

I te jego skarby, te jego kwiaty leśne poniszczyli mu ludzie.

Hardego chłopaka giąć chcieli jak trzcinę, aż im się złamał w rękach, a dziewczęciu zabrali wszystkie uśmiechy. Jej biednej zostały tylko łzy. Serduszko młode zabrał jej pan bogaty i podeptał, a dziewczę nikło, nikło coraz smutniejsze i cichsze, aż ucichło na zawsze

Ha! nie rosnąć kwiatom na tej ziemi nieszczęścia i hańby, ha! nie żyć młodym na niej pełnią życia!

I widział dumną głowę swojego chłopca spuszczoną posępnie na piersi i oczy, co tak śmiało patrzyły przed siebie, przymknięte na wieki. I widział dziewczyny swojej warkocz potargany i twarzyczkę bladą, na którą po śmierci dopiero wystąpił serdecznej skargi ból.

A teraz nie zobaczy ich już nigdy, nigdy! Dzieci swoich nie zobaczy już więcej!

Padł na krzesło i zaniósł się płaczem szalonym. Jak dziecku łzy mu leciały gorące i łkanie rozpaczne szarpało pierś starą.

Późno było, kiedy się uspokoił, uciszył nareszcie. Siwa głowa opadła mu na piersi, przymknęły się powieki i sen-pocieszyciel ogarnął duszę zbolałą... Las przed nim, wśród lasu droga, gałęzie drzew szron pokrył srebrzysty. On idzie coraz dalej i dalej, ale mu dziwno jakoś. On swojej puszczy każdy zakątek zna, a tego miejsca nigdy podobno nie widział. To jakiś las obcy, tajemniczy. Inaczej chylą się tu drzewa, inaczej miesiąc świeci. Nad drogą rośnie brzoza płacząca i wiotkie gałązki żałośnie chyla ku ziemi, naprzeciw niej dąbek młody śmiało wzbija się ku górze Starzec idzie, idzie, a wciąż mu się zdaje, że te dwa drzewka spoglądają na niego, że o nim między sobą cichym gwarem gwarzą. Stanął pod nimi zadumany i uczuł, że go brzózka pieszczotliwie gałązkami swojemi trąca i szumi nad nim, ludzką mową szumi: „Ojcze mój — powiada — to ja, twoja dziewczyna. O nie płacz ty nademną! Mnie tu dobrze mój ojcze, tak dobrze, tak cicho! Wietrzyk po gałązkach moich piosnki przeróżne gra, mgły mnie otulają, miesiąc bla-

*) Śliczny ten obrazek, pełen głębszej myśli zapożyczamy z *Przeglądu Poznańskiego*. (*Przyp. Red.*)

skiem stroi... i jeślim ja płaczaca, to dla tego tylko, że mi ciebie ojcze, stary ojcze, żal! O nie płacz nademną, tu nic nie zaboli, tu nie ukrzywdzi nikt. Jednego ranka on jechał przez las... On. . ty wiesz ojcze, kto. Zatrząsłam listkami i krople rosy, któremi okryły mnie mgły poranne, spadły mu na czoło. On pojechał dalej i rosy kropełki,. jak niegdyś łzy moje poniósł na sobie. Tu dobrze ojcze, tu cicho, tu błogo.

A dąbek młody tak szumiał nad starcem: „Mój ojcze. mój ojcze, nie żałuj ty mnie! Ty jeden wiesz. jak mnie ciężko, jak trudno było żyć na świecie. Płaszczyć się trzeba było, i podlić, i karku przed podłym uginać, a tyś mnie tego nie nauczył sam i jam nie umiał. więc złamał mnie los A teraz, widzisz, dębem dumnym i twardym wyrosłem: w górę śmiało wybiegłem, mój ojcze, a kiedy wichry i burze nadejdą, to mną zatrzasną i złamią mnie może, ale mi czoła hardego nie ugną! O! nie żałuj ty mnie, nie żałuj! I gałązki trąciły się drzewa i obydwa zgodnie zaszumiały: O nie płacz, nie płacz ty za nami! My tu nie same, my tu w tym lesie pomiędzy swoimi! Słuchaj, słuchaj, my tobie szumem tajemnicę lasu wyśpiewamy. Kto kocha za mocno, kto czuje za wiele, temu młodo umierać trzeba. temu lepiej w ciemnej puszczy drzewem prostem, zielonem wystrzelić, niż na świecie, pomiędzy ludźmi żyć! O mój ojcze, my tu pomiędzy swoimi. Posłuchaj tylko, posłuchaj!

I w tej chwili dwom drzewkom młodym zawtórowała puszcza cała i chórem wszystkie zaśpiewały drzewa: Kto kocha za mocno, kto czuje za wiele. temu młodo umierać trzeba. O nie płacz, nie płacz ty nad nami!

Z za chmur wysunął się księżyc i na pokryte szronem wierzchołki drzew rzucił snopy blasków przeczystych. Zamigotały światłem djamentów i na tle błękitnem powietrza aureolą promienną gorzały...

Zbudził się starzec, podniósł senne powieki i zdziwionym wzrokiem powiódł dokoła. Na kominku przygasły już głownie i tylko fijołkowe płomyki biegały po bielejącym popiele. Ciemno było i cicho, a staremu w głowie wciąż jeszcze szumy grały dziwne i aureolą blasków świecił tajemniczy las.

Helena Ceysinger.

Praktyczne wiadomości

— *Wyrób* perfum. Chemicy odkryli sposób wyrobu perfum nie tylko z kwiatów, lecz i z ciał kopalnych, a mianowicie z węgla kamiennego. Niemieccy chemicy, prof. Tirman i dr. Krüger, wyrabiają zapach fiołka, budeńskie fabryki sztuczną gałkę muszkatułową. Z węgla kamiennego wyrabiają również sztuczny zapach róży, lecz nie tak silny i aromatyczny, jak z kwiatów różanych.

— *Jabłka* przed snem spożywane, jak zapewniają dzienniki zagraniczne, znakomicie wpływają na zdrowie, stanowią, bowiem, wyborny środek dyetyczny. W połączeniu lekko strawnem, zawierają w sobie więcej fosforu, niż jakikolwiek inny płód roślinny na ziemi. Spożywanie ich wybornie działa na mózg, pobudza wątrobę, dezynfekcjuje zapach w jamie ustnej, zobojętnia nadmierne kwasy żołądkowe, paraliżuje hemoroidy, podnieca czynność nerek i zapobiega tworzeniu się kamienia, ułatwia trawienie. Prawidłowe ich spożywanie daje sen spokojny.

— *Przechowywanie lodu.* Prawie zupełne zaniechanie hodowli owiec, a coraz większy rozwój hodowli bydła, nakazuje w każdem gospodarstwie starać się o lód, który dziś jest konieczny do wyrobu masła i konserwowania go w świeżości w dniach upalnych wśród lata. Lodownie takie, małe wszędzie urządzić można. Najprościej w budynku, np. w stodole, w której spód należy wyłożyć kamieniami, lub gliną, a urządzić spadek, by woda z topniejacych brył lodu, miała odpływ. W oddaleniu 75 centymetrów od ścian budynku, daje się ściany z desek, które lód nagromadzony wstrzymują, by się nie rozsypywał i na ściany nie zwalał. Na okół tej przestrzeni, w której lód ma być zachowany, sypie się jeszcze żwir, by woda nie dostała się do fundamentów, a potem, przestrzeń próżną pomiędzy deskami lodowni, a ścianami budynku, wypełnia się materjałem będącym złym przewodnikiem ciepła, a więc torfem dobrze ubitym, lub, gdy się słome bierze, jęczmionką. Pod lód nasłać należy igliwia, lub trocin, potem chrustu i znów igliwia mniej więcej na 75 cm. wysokości. Spodem winien być kanał sięgający od ściany zewnętrznej do środka celem odpływu wody, a spód tej lodowni winien być pochyły. Bryły lodu należy układać szczelnie jednę na drugą, by do siebie przystawały. Najlepiej rżnąć lód na miejscu piłą, by bryły były proste i ostre miały kanty, a nie należy ich wrzucać do lodowni, tylko ostrożnie ręką układać jednę na drugiej. Lód powinien być czysty, bez wmarzłych roślin i bryły, jak najgrubsze, a wszystkie fugi wypełnić należy tłuczonym lodem i zlać zimną wodą. Tym sposobem utworzy się jedna stała bryła lodu, która tem dłużej opierać się będzie wpływowi ciepłego powietrza. Kto ma dużo trocin, niechaj zewnętrzne ściany okłada niemi, a na wierzch, także sypie trociny. Upadną one potem na spód, można je wysuszyć po stopnieniu, lub wybraniu lodu i przewietrzone służyć mogą do lodowni na rok przyszły. Wierzchem obkłada się lodowni grubo słomą i ma się potem lód przez całe lato bez wielkich zachodów. Od strony północnej należy urządzić otwór z drzwiami, który szczelnie winien być słomą zatykany.

— *Wiecznie* trwająca koniczyna. Jedna z niemieckich rolniczych gazet donosi, że w szwajcarskiej stacji doświadczalnej dla nasion, zasiano na próbę tak zwaną pannońską koniczynę (trifolium pannonicum). Plenna ta odmiana koniczyny wymaga dobrej, głęboko użyźnionej ziemi i tylko pod tym warunkiem dostarcza obfitych zbiorów w czasie swego długiego istnienia. Sieje się ją samą bez wierzchniego płodu. Ponieważ roślina ta rozwija się z początku bardzo wolno, należy zatem w pierwszym roku oczyszczać ją starannie z chwastów. W tym czasie przedstawia się ona zwykle w kształcie kilkolistkowych krzaczków, które tylko na bardzo dobrych gruntach wytwarzają przed jesienią pojedyncze gałązki i pączki kwiatowe. Na zwykłych glebach można ją użytkować dopiero w drugim roku. Daje rocznie dwa pokosy, z których pierwszy wykonanym być powinien, jak tylko główki kwiatowe ukazywać się zaczną, inaczej, bowiem, porost następny znacznie się zmniejsza i pasza bywa bardzo twardą. Na polach próbnych o dobrej ścisłej glebie, roślina ta dochodzi do 105 cm. wysokości. Cała roślina tej odmiany pokryta jest gęsto włoskami, a na końcu każdej gałązki mieści się duża, blado-żółtawa główka kwiatowa. Badania chemiczne wykazały, że roślina ta, (licząc 14% zawartości wody) posiada w czasie kwitnienia: białka (w pierwszym pokosie) 12·3%, w 2-gim pokosie 12·2%; tłuszczu w 1 pokosie 1·5%, w 2-gim pokosie 1·9%; bezazotowców w 1 pok. 30·4%, w 2-gim pokosie 27·4%. Z zestawienia tego widzimy, że części wchodzące w skład koniczyny czerwonej, przewyższają po największej części wszystkie trawy. Na innem polu, położonem 1800 m. nad powierzchnią morza, przebyła ta odmiana zeszłoroczną zimę daleko lepiej. aniżeli koniczyna miejscowa, dalsze próby byłyby zatem pożądane.

Różne sprawy.

Nakładem Kozłowskiego w Poznaniu, wyszło drugie wydanie dzieła pod t. *Malowniczy opis Polski*, układu *Józefa Chociszewskiego.* Już w samej przedmowie, znajdujemy umotywowanie tego wydawnictwa, które zdaniem autora ma służyć, jako podręcznik do nauki geografii ojczystej, a które było koniecznem ze względu na to, że nauka ta w ziemiach dawnej Polski pod obcymi zaborami, nie jest obowiązującą dla uczni szkół publicznych. Co do samego układu dzieła, uchwycił autor bardzo szczęśliwy sposób zpopularyzowania treści ścisłej naukowej, za pomocą opisów i cytat, z dzieł naszych poetów i za pomocą podań, opowieści i gadek ludowych, Zaznaczyć tu jeszcze musimy i to, że autor korzystając z tego, że każde prawie miasto polskie, że każda naszego kraju okolica, każda wieś nieledwie, ma za sobą jakąś przeszłość historyczną, wiążąc historję z geografją, dał nam popularny i względnie do rozmiarów dziełka wcale wyczerpujący zarys dziejów naszego narodu. Jedną całość z pracą Chociszewskiego, stanowi krótki opis zdrojowisk i stacyj kąpielowych i klimatycznych w Polsce, pióra D-ra Chłapowskiego. *Malowniczy opis Polski*, jest pracą bardzo pożyteczny i w literaturze popularnej nabytkiem stanowczo dobrym.

Z Miasta.

Dochodzą nas głosy wielkiego uznania dla tutejszego adwokata i Inspektora szkoły żeńskiej im. Czackiego dra. Wilhelma Holzera, który z prawdziwą skromnością uprawia dobroczynność. Skoro zima zawitała, a z nią głód i niedostatek wśliznął się do mieszkań biednych — tedy to znany z filantropji dr. Wilhelm Holzer spieszy, aby własnym funduszem podzielić się z temi, którzy z największą nędzą i głodem zaciętą walkę toczą. Lecz nie kończy się na tem dobroczynność dra. W. Holzera, stykając się on tak często z biedakami, widział osobiście, jak niejedno biedne dziecko opuszczało o głodzie dom i spieszyło do szkoły, a mniej wytrwałe na głód, po drodze chwytało bułkę ze straganu i niewinnie stawałe się amatorem cudzej własności tworząc szeregi włóczęgów którzy później zapełniali kazamaty policyjne. Wrażliwy na biedę i nieznoszący demoralizacji dr. W. Holzer,, rozszerzył swoją opiekuńczą dobroczynność nad dziatwą szkoły im. Czackiego we Lwowie, udzielając ze swoich funduszów dla studwudziestu dzieci herbatę gorącą z bułką przez cały trzy miesiące zimowe. A że działalność dra W. Holzera nie jest w stanie wszystkich biedaków objąć swoją opieką, aby wyplenić już w zarodku chwasty nie potrzebne, to jednak daje z siebie przykład tak niezwykły, a ciężki w praktyce, gdyż w dzisiejszych czasach mało podobnych naśladowców się znalazło, którzyby z równem zamiłowaniem i skromnością oddawali się filantropji, zwłaszcza, że Dr. Holzer nie posiada majątku odziedziczonego, lecz na cele dobroczynne używa grosza ciężko i sumiennie zapracowanego. Dodajemy jeszcze, że w czasie epidemji cholery od 6 września do końca marca 1893. dr. W. Holzer z własnych funduszów 350 osób zasilał herbatą i bułką codziennie, oraz troszcząc się o lepsze mieszkanie biedaków w tak w krytycznym czasie, zmieniał je i płacił częścią z własnych funduszów, a częścią na ten cel uzbieranych. Daj Boże, żeby takich było, jak najwięcej. —

KARTKI
Sprawozdawczo - informacyjne
z Wystawy powszechnej we Lwowie.

Między przedmiotami grupy XV. umieszczonymi w prawem skrzydle lewego ramiena pawilonu przemysłowego, mieliśmy sposobność oglądać ładny stolik, którego rzeźby niepospolitą swą wartością. dawały chlubne świadectwo o smaku artystycznym swego wykonawcy. Nadesłał go Wilhelm Ries ze Stryja. Czystość linij rysunku i lekkość wykonania nadawały tej robocie wygląd zgrabnego, misternego cacka artystycznego. które może służyć i ku ozdobie salonu, i jako okaz sztuki rzeźbiarskiej.

Olbrzymi syfon, jako symbol fabrykacji sztucznych wód mineralnych, wystawiła firma K. Rzącą i Chmurski z Krakowa, Fabryka ta założona w roku 1863. wyrabia swoje, znane w całym kraju z dobroci, a zalecane przez krakowskie Towarzystwo lekarskie wody mineralne sztuczne i specjalne lecznicze. Szczególnie doskonałe są wody sztuczne: bilinski, selterskie i vichy; lecznicze: bromowa, jodowa, litowa, żelazista; sodowe: kwaśna, hygieniczna i zwyczajna. O sztucznych wodach mineralnych i o wodach leczniczych, można zupełnie stanowczo powiedzieć, że składem swoim odpowiadają, wodom naturalnym, zaś lecznicze o wiele przewyższają skutecznością tego rodzaju przetwory chemiczne w innych postaciach produkowane. Fabryka ta już wielekrotnie na różnych wystawach bywała nagradzaną.

W pawilonie galic. Tow. naftowego pomieściły się wyroby Jana Michalika z Krosna. Do liczby tych, jakie oglądaliśmy należą: przyrządy wiertnicze, jak świdry, nożyce, rozszerzacze, przyrządy do wyciągania rur (raki), rury hermetyczne stare z nowemi mufami i czopami. okucia do ciągni drewnianysh. wreszcie, przyrządy do chwytania ciegni urwanych podczas wiercenia. Jak firma opiewa, posiada p. Michalik, warsztat naprawy maszyn i narzedzi wiertniczych, a warsztat taki prowadzony dobrze i ze zrozumieniem rzeczy. o czem świadczą, wystawione okazy, oddaje niepoślednie usługi przemysłowi naftowemu w kraju, bo uchyla potrzebę wysełania maszyn i narzedzi do fabryk zagranicznych celem ich naprawy a zezwala na uskutecznienie tejże w kraju z wielką oszczędnością czasu i kosztów.

Nowy młyn parowy firmy *Frenkla* i Spki. w Przemyślu, nadesłał ładny zbiór próbek mąki od najbielszych aż do sort najgrubszych i razowych, które to próbki, zdaniem znawców, świadczą o dobrem urządzeniu i kierownictwie młyna pod względem fachowo młynarskim. Młyn Erenkla założony został w r. 1865 i zatrudnia on obecnie około 150 robotników oprócz dwóch motorów parowych, z których jeden o sile 170, drugi o sile 100 koni. Dla robotników młyna istnieje własna fabryczna kasa chorych. Młyn Frenkla nagrodzony został w r. 1870 i 1882 na wystawach przemyskich wielkim medalem srebrnym państwowem i dyplomem honorowym.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan A. Kl. w Przem. Wiersze otrzymaliśmy — zużytkujemy, co dla nas odpowiednie. —

Autorom wierszy: „Nasi posłowie, „Miłość i pasternak“, i „Ceregiele“ — utwory panów drukowane nie będą. —

W. K. w Paryżu. W Zakopanem. —

X. X. X. w Krakowie. Chociaż prawda, ale my pisać o tem nie będziemy. —

Prenumeratorka w Chicago. Teatr murzyński na wystawie lwowskiej zbankrutował — tak dalece, że dyrektor, czy przedsiębiorca tego poczernionego teatru, uciekł. —

Nadesłane.

Poczuwam się do miłego obowiązku, podziękowania Szanownej P. T. Publiczności za łaskawe względy, jakimi dotychczas mnie obdarzała biorąc pieczywo z moich sklepów. A równocześnie mogę zapewnić, że będę się starał i nadal zadowolnić moich odbiorców i polecając się ich łaskawej pamięci, i nadmieniam przy tem, że pieczywo moje znajduje się tych sklepach, gdzie są umieszczone tablice mojej firmy, kreślę się z poważaniem

Stanisław Wacław Hess
właściciel piekarni postępowej.
(6315—3—1).

Przy ul. Grodeckiej l. 60., w pobliżu dworca kolejowego, polecam urządzony z komfortem i wygodami hotel, w którym pokoje elegancko umeblowane z czystą pościelą i z usługą poczawszy od 80 ct. za dobę liczę. Przy hotelu znajduje się doskonała restauracja i sala bilardowa. oraz dzienniki dla PT. przybywających gości do Lwowa. Naprzeciw hotelu są przestanki tramwajów: konnego i elektrycznego, spieszących z dworca do miasta i napowrót.

Polecając się łaskawej pamięci PT. Publiczności i pozostaję z poważaniem

LEON DICKER
właściciel hotelu i restauracji, ul. Gródecka l. 60. we Lwowie.
(6318—1)

Wszech nauk lekarskich
Dr. MRAZEK
osiadł we Lwowie, przy ul. Halickiej l. 20. i ordynuje od 9 do 12 i od 3 do 5 godz. popołudniu.
(6305—2—1).

Na rogu ul. Trzeciego Maja i Jagiellońskiej nabyta przez p. Marcina Drummera **Kawiarnia narodowa**, została zupełnie odrestaurowaną i z komfortem urządzoną, a zaopatrzoną w wielką ilość doborowych pism rozmaitych, jest niewątpliwem miejscem dla spędzenia przyjemnie kilka chwil przy dobrej kawy, lub herbaty szklance. Przytem usługa wzorowa i ceny umiarkowane.
(6306—1—1).

Courière & Comp.
Dom założony w r. 1850.
SPADKOBIERCY
L. Proux & G. Kondratowicz
(Francja). **w Cognacu** (Francja).

Prawdziwy Cognac francuski wypróbowany i nagrodzony **medalem złotym** na wystawie lwowskiej, reprezentowany we własnym pawilonie

BUTELKA

Jedyna polska firma we Francji w samym Cognacu posiada wielkie zapasy starych kuracyjnych koniaków i takowe poleca P. T. Publiczności.

We Lwowie sprzedają pp. Karol Bayer, Jan Bodnar, Karol Bałaban, Józef Brzezina, Stan. Lachowicz, Stan. Markiewicz, Henryk Mayer, Zygm. Rucker, Leonard Solecki. Pozostałe zapasy koniaku wystawowego zakupili i mają na składzie pp. J. Stachiewicz, skład nasion, plac Marjacki i Wiewiórski apt., ulica Halicka; oraz wszystkie renomowane handle na prowincji. **August Charzewski**, jeneralny zastępca z siedzibą w Krakowie.
(6245—15—8).

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że z dniem 1. grudnia r. r. otworzyłem

Restaurację

w kamienicy Wgo Pana Szustera na dole

przy ul. Kościuszki, w Kołomyi

niżej Kawiarni Centralnej składającą się z 4 z konfortem według najnowszych wymogów urządzonych pokoi.

Wstąpiwszy w spółkę z byłą restauratorką i kucharką, pracującą od lat 35 z najlepszym powodzeniem w tym zawodzie, starać się będę prowadzić kuchnię jak najwytworniejszą a przytem smaczną i zdrową. Potrawy sporządzane w sposób jak najstaranniejszy naturalny, na czystem świeżem maśle, tak iż każdy gość w mojej restauracji pozna od razu jaknajlepszą i najzdrowszą a stosunkowo tańszą niż wszędzie kuchnię.

Table d'hote (6316—1)

kompletną i okazałą zastawę na dowolną ilość osób urządzać będę za poprzedniem zamówieniem bez zadatku, ręcząc za dobroć podawanych potraw i wspaniałość półmisków.

ABONAMENTA

w restauracji jak do domów prywatnych na obiady z dwóch dań po cenie 7 zł. 50 ct. z trzech po 11 zł., niemniej też abonamenta na śniadania i kolacje.

Kawa wiedeńska, przekąski zimne i gorące, śniadaniowe od godziny 8-ej rano.

Piwo okocimskie, czarny lok we flaszkach, porter angielski, wszelkie gatunki win wyborowych na miary i flaszki z oryginalną marką, wódki, likiery, francuski prawdziwy Cognac po cenach samokosztu.

Zapewniając iż wszelkich starań dołożę, by pod każdym względem zadowolnić najwybredniejsze nawet wymogi, proszę o łaskawe poparcie ze strony PT. Publiczności.

Z głębokim szacunkiem
Jan Przysłupski.

Premiowana na wystawie światowej wiedeńskiej w 1873 r. Na wystawie krajowej we Lwowie w 1894 r. Na antwerpskiej wystawie w 1894 r. odznaczona dyplomem honorowym. Na brukselskiej i ryzyńskiej wystawie odznaczona 1894 r. złotymi medalami.

FABRYKA KRAJOWA
spirytusu, likierów, rosolisów, rumu i wódek polskich

Salo Goldfrucht

dawniej
J. Stadtfeld i Spółka
w Zniesieniu przy Lwowie.

Poleca swoje specjały wódek polskich: Kontuszówkę, żytniówkę, 10-cio letnią starkę, (żytni koniak) Ratafię, Rozłopczyn i t. p. — Skład prawdziwego rumu jamajka, Koniaku francuskiego i starej śliwowicy syrmskiej. — Wyrabia spirytusy na drodze gorącej dla koncesjonowanych sprzedaży wódek i handlów z towarem mieszanym.

Skład dla Lwowa u p. **E. Silbera** handel korzenny i delikatesów ul. Sykstuska l. 1.
(6303—2—1).

Wyprawy kuchenne w największym wyborze.

J. Janowski i St. Krzyszkowski
przedtem **Leon Bratkowski**
Lwów, plac Marjacki liczba 11.

polecają swój pierwszy specjalny magazyn naczyń kuchennych i przyborów do prania bielizny. Wanny i tusze we wszystkich rodzajach, klozety pokojowe, wyroby nożownicze, jak noże stołowe, noże kuchenne, scyzorki, nożyczki i brzytwy najlepszej jakości. Szatkownice do kapusty. (6250—10—4)

Wielki wybór samowarów rosyjskich
ceny możliwie niskie.
Przy zakupnie wypraw opuszcza się znaczny rabat.

Wyprawy kuchenne w największym wyborze.

STANISŁAW POCHMARSKI
Zasanie. W Przemyślu Zasanie.
HANDEL TOWARÓW KORZENNYCH
i delikatesów, win węgierskich i austrjackich.
Pokój do śniadań i Restauracja.
Skład nafty niezapalnej.
Codziennie dwa razy świeże pieczywo.
(6313—3—1)

Sensacyjny najnowszy wynalazek patentowany
Maszyna do prania za 3 złr. 50 ct.
Pneumatyczna ręczna maszyna do prania.

UNDINE

czyści bieliznę zapomocą ciśnienia powietrza, w sposób najmniej szkodliwy i w najkrótszym czasie.

Uznana w świecie za najlepszą i najtańszą maszynę do prania.

O dobroci tejże można się przekonać co dnia od 11-tej do 12-tej na próbach prania, które się odbywają w handlu.

O. T. Winklera Syna
Teatralna 7. Lwów.
ANTONI HALSKI plac Marjacki.
(6317—4—1)

Magazyn i pracownię sukień męskich dawniej pod firmą E. BAUROWICZ.

Objąłem na własność

i takową pod osobistym kierownictwem prowadzić będę. Jako fachowo wykształcony w zawodzie krawieckim mam niepłonną nadzieję iż wszelkim wymaganiom zadość uczynię. Licząc na łaskawe poparcie P. T. Publiczności i pozostaję z szacunkiem.

Ludwik Stieber w Kołomyi.
(6309—2—1)

Komisowo-spedycyjna ajencja
pod firmą
H. L. Schiffmann
w Stanisławowie.
w gmachu c. k. Derekcji kolei państwowej.

Poleca się dla załatwienia wszelkich interesów spedytorskich i komisowych w kraju, jak i zagranicą przy cenach bardzo umiarkowanych ręcząc za punktualność i możliwą szybkość.
(6308—2—1)

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Przewielebne Duchowieństwo i wielce Szanowną P. T. Publiczność, że magazyn paramentów, naczyń, obrazów i szat liturgicznych, towarów szczero-złotych, srebrnych i z chińskiego srebra jakoteż główny skład herbaty chińsko-rosyjskiej pod firmą

F. PERLIK

objąłem na wyłączną moją własność i takowy pod moją firmą:

ANTONI OLSZEWSKI
w Przemyślu

dalej prowadzić będę.

Prez długoletnią, praktykę, jakoteż przez gruntowną znajomość rzeczy, jestem w tem miłem położeniu, tak co do doborowego towaru, jak i przystępnych cen, wszechstronnemu żądaniu zadość uczynić.

Ofiaruję od tegoż cennika 5% opustu Szanownym Odbiorcom przy zakupnie wyżej 100 złr. — 200 koron naraz.

Polecając się łaskawym względom, kreślę się. (6301—2—1)

Z głębokiem szacunkiem
Antoni Olszewski.

WAŻNE DONIESIENIE.

Mam zaszczyt donieść Szanownej P. T. Publiczności, iż z dniem 1-go Grudnia 1894.

przy ul. Mickiewicza w domu Towarzystwa zaliczkowego rolnego w Przemyślu

otworzyłem

FABRYKĘ RĘKAWICZEK

wszelkiego rodzaju jako to: letnich i zimowych uniformowych i wojskowych, glancowanych i duńskich, sarnich i jelonkowych, trykotowych skórką obsadzanych pluszowych i futrzanych, oraz szelek gumowych własnego wyrobu.

Bandaży rupturowych, pasów brzusznych suspesorium i wszelkich artykułów ortopedycznych.

Niemniej posiadam na składzie w swym magazynie **krawaty, spinki, portmonetki** i różne artykuły skórkowe w zakres rękawicznictwa wchodzące.

Przyjmuję do oprawy w skórkę wszelkie hafty jako to: szelki, czapki pokojowe, poduszki i wszelkie rzeczy kościelne etc. wykonując takowe w oznaczonym czasie z gustem i elegancką pod najprzystępniejszemi cenami oraz

pierwszą pralnię rękawiczek,

które na żądanie w kwadransie uskuteczniam bardzo czysto, również przyjmuję do prania UBRANIA i PODUSZKI jelonkowe.

Z głębokim szacunkiem
STANISŁAW ŻUREK.
(6300-1)

Objąwszy z dniem 1-go stycznia 1895 we własny zarząd

Hotel Europejski
(we Lwowie — plac Marjacki)

mamy zaszczyt polecić go względom wielce Szanownej P. T. Publiczności zapewniając, że usilnem naszem staraniem będzie wszelkim wymaganiom zadość uczynić.

(6307—4—1) Z wysokim poważaniem
Albert Skowron i Spółka
właśc. hotelu Europejskiego.

Pokoje od 80 ct., poczawszy.

Kremską musztardę,

Znaną, jako jedną z najlepszych, świeżo zawsze przyrządzoną, pod nazwą podwójnej musztardy, oferuje w 5 kilowych pocztowych baryłkach **na próbę** po *2 złr. 40. za 2 1/2 kilo. po 1 złr. 60 ct., za 12 kilo po 5 złr. 25 kilo po 9 złr. 50 ct.*

FERD. MICHL.
Senf-Fabrik, Krems, N.-Oest.
Nie odebraną paczkę przyjmuje napowót.
(6320—1)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego we Lwowie, ul. Słowackiego l. 4.

Rysunki odbite w Litografii A. Plutera przy ul. Kopernika 17 we Lwowie.